Rozmaitości

Dnia 16. czerwca **Nr 24.** *1838 roku.*

ŻÓŁTA RÓŻA.

POWIEŚĆ. Z FRANCUZKIEGO
Karola Bernard.

Przed kilką laty, w czasie chłodnego poranku wiosny, młody mężczyzna układnéj postaci, przyjemnéj twarzy, o dwie mile przed Provins opuścił dyliżans jadący z Paryża. Miejsce, w którém wysiadł, nie można było nazwać ani włością, ani też okolicą zupełnie nieosiadłą: po prawéj i po lewéj ręce stały porozrzucane domy, które w miarę majątku właścicieli otoczone były parkanem albo tylko małym ogródkiem. Podróżny, obejrzawszy się na chwilę po okolicy, zawołał chłopaka idącego pieszo za dyliżansem, i dawszy mu do ręki kilka sous, a na ramię włożywszy mały skórzany tłumok, zwrócił swoje kroki ku jednemu z tych wiejskich siedlisk, których strzechy, na włoski sposób murawą wyścielone, po cztérech bokach ozdobione były gipsowemi posągami, przedstawiającemi cztéry pory roku w tym sposobie, iż Wiosna na wschód, Jesień na zachód, Lato na południe, a Zima na północ wskazywała. Alegoryczne posągi te zdawały się młodemu podróżnemu być przewodnikami; za ich bowiem pomocą śród krzyżujących się ścieżek upatrzył drogę, którą iść mu należało. W przeciągu pięciu minut przyszedł do wielkiéj ogrodowéj bramy, któréj strzegły dwa lwy z wypalonéj gliny, i przez któréj kratę mógł widzieć całą przestrzeń miejscowości. Przekonany, że się znajduje w miejscu, do którego dążył, otarł pył z butów o trawę bujnie po pod mur rosnącą, poprawił na sobie tu i ówdzie, przejechał ręką przez włosy, które się w czasie nocnéj przejazdki pomierzwiły; słowem, uczynił około siebie ów pospieszny porządek, którego wchodzący pułk do nowéj załogi nigdy uczynić nie zaniedbuje; poczém zadzwonił: »Czy tu mieszka pan Simart?« zapytał człowieka w świąteczną suknię ubranego, który na folwarcznego parobka zakrawał, i dla otworzenia bramy przyszedł. — »A tu; ale nie masz go w domu!« odrzekł parobek, wstrzymując na obróży dużego, czarnego brytana, który mniej spokojny, niźli dwa lwy, sąsiady jego, rwąc się nieustannie, zagłuszał swém szczekaniem słowa mówiących.

Podróżny, zniecierpliwiony tym hałasem, podniósł bambusową laskę, którą miał w ręku i uderzył dość silnie szczekającego psa po mordzie. Brytan, odebrawszy to niespodziane przewitanie, tak się mocno szarpnął, że parobek aż ku bramie poleciał, a pies warcząc i kły szczérząc, patrzył na podróżnego z tak roziskrzoném ślepiem, jak gdyby go chciał kłami w kawałki poszarpać; lecz gdy podróżny znowu laskę do góry podniósł, brytan skoczył w tył z pospiechem i z uszyma zwieszonemi, zwiniętym pod siebie ogonem, skrył się pokornie do budy. »Cóż panu nasz Soliman zawinił, że go tak niemiłosiernie bijesz?« zapytał odźwierny wiejski głosem bardziéj grubijańskim aniżeli odważnym. Młody mężczyzna miasto odpowiedzi odebrał tłumok, pod którym się mały chłopak uznoił, i podniosłszy w górę, rzucił go w ręce zdziwionemu parobkowi: »Ponieważ, jak powiadasz, pan Simart wyszedł, więc zapewne pan Tessier w domu będzie; zaprowadź mnie do jego pokoju i przywołaj go do mnie.«

Odźwierny poddając się władzy, którą głos rozkazujący, siłą fizyczną wsparty, na prostych ludziach zawsze wywiera, stał się posłusznym, chociaż sobie mruczał po cichu;

jednakże dla pomszczenia się i sprawienia sobie ulgi w gniewie, przechodząc koło budy, kopnął psa nogą, nito w pogardę, że przez niego ucierpiał; atoli brytan, zaczepiony w swojéj twierdzy, rzucił się z wściekłością na przeciwnika i zahaczywszy kłami o świąteczną suknię, w okamgnieniu w kurtę ją przerobił: »Do sto szatanów!« wrzasnął gap', nie domyślając się jeszcze, że tak wielkie nieszczęście spotkało jego galową suknię. »Czy kto słyszał, aby dla tego, że panna Celestyna ma w swojéj łasce tego diabelskiego psiska, już człowiek miał zezwolić na to, aby go rozszarpał! Szkoda wielka, żeś mu pan laską mordy nie roztrzaskał!«

»Czy tak! więc panna Celestyna ma w psach upodobanie,« rzekł podróżny z cicha sam do siebie; »bardzo ciekawy jestem, jak się też ona zgadza z panem Tessier, który ich cierpieć nie może. Ba! albożto miłość cudów nie dokazuje?«

Młody mężczyzna, minąwszy podwórze i przedsionek służący za rośliniarnię, wszedł na wschody dość pięknie zbudowane, i kroczył wzdłuż korytarzem, do którego pokoje na piérwszém piętrze miały tylne wychody. Na samym końcu przyszedł do drzwi, które bez namysłu otworzył, ponieważ je przewodnik temi słowy pokazał: »Tu, w tym pokoju!«

Piérwszy przedmiot, który przy wnijściu w oczy go uderzył, był mężczyzna przy stoliku siedzący, łokciami na pulpicie oparty, mający założone za uchem pióro, dumający nad plikiem listowego papiéru, dziwacznemi arabeskami pokreślonego.

»Ah, tyżto jesteś? Witam cię!« rzekł pisarz zadumany, obróciwszy się twarzą do wchodzącego; »dziś właśnie ciebie oczekiwałem!... Mikołaju, połóż w kącie tłumoczek i zostaw nas samych.«

»Tak, jato jestem w swojéj własnéj osobie,« odrzekł podróżny, gdy służący oddalił się z pokoju; »przybywam na twoje wezwanie, i gotów jestem włożyć ci na głowę ślubny wieniec... No, kiedyż będzie wesele?«

»Sądzę, że jutro intercyzę podpiszemy,« odrzekł Tessier zasępiony.

»Sądzisz dopiéro! a więc nie wiész z pewnością! Ale dla czegoż mnie to zadziwia? albož ty przy swoim chwiejącym się charakterze wiedziałeś kiedy, co jutro czynić będziesz?«

»Kochany Dramondzie usiądź, pomówimy z sobą. Zastajesz mię w największym kłopocie, w jakim tylko być można! Donosząc ci, że się z panną Simart żenię, zostawałem w pewnym rodzaju marzenia; patrzyłem na przyszłość przez owe złudne pryzma, którego kolory każdą rzeczywistość różaném światłem powlekają.«

»Bez ogródki mój przyjacielu: Chcesz powiedzieć, że ujrzałeś teraz odwrotną stronę medalu. No, cóżeś na nim zobaczył?«

»Czarta!« odrzekł Tessier, gniotąc z gniewu pióro, które wyjął z za ucha.

»Czarta? czy o swojéj narzeczonéj mówisz?« zapytał Dramond, roześmiawszy się na całe gardło.

»Zmiłuj się, nie śmiej się tak głośno! Mury mogą miéć uszy.«

»Zkąd takie myśli; albożto my w pałacu Nerona... No, teraz siedzimy dość blizko siebie; będę cię słuchał, albo lepiéj będzie, gdy ty mnie posłuchasz: idę o zakład, że już wiém naprzód, co mi chcesz powiedzieć: znalazłeś iż posag mniejszy, aniżeli się spodziewałeś?«

»I owszem; Celestyna wnosi mi 6000 liwrów rocznego dochodu gotowizną, a ojciec jéj zapewnia mi drugie tyle, podczas gdy ja nie spodziewałem się dostać więcéj nad 9 do 10.000.«

»To zapewne znalazłeś w rodzinie narzeczonéj jakiego wyrodka lub gapia, który jéj zakałę czyni?«

»Co tobie! Rodzina Simartów i Valonnów jest bardzo poważana, rozumna i nienaganna w całéj prowincyi.«

»Może odkryłeś, że gorseciarka swoją sztuką prostuje jaką ułomność panny Celestyny?«

»Co za bluźnierstwo! Widzisz tę smukłą i gibką topolę w ogrodzie? Taka jest kibić Celestyny.«

»Może dowiedziałeś się, że jaki przyjemny kuzyn uprzedził cię w twoich zalotach?«

»Nié ma ona ani kuzynów, ani braci, jestem zupełnie przekonany, że jeszcze nikogo nie kochała.«

»Wyjąwszy Solimana.«

»Znasz Solimana!« skrzyknął Tessier poskoczywszy; »czy ukąsił cię!«

»Nie! owszem, jam go wygrzmocił.«

»A niechże ci Pan Bóg za to nagrodzi! Tą razą dotknąłeś mojéj krwawéj rany; przeklęty pies ten jest główną przyczyną moich zmartwień.«

»Jako? pies!«

»Wiadomo ci, że ja od zwierząt zawsze odrazę miałem, a psów w szczególności cierpieć nie mogę. Ten kundys zapewne wyczytał to z méj twarzy; bo od czasu mego tu przybycia jest moim najzaciętszym nieprzyjacielem i nie zaniedbuje żadnéj sposobności, ażeby się do moich łytek nie zabiérał. Z początku śmiałem się z tego, potém przymuszony byłem udawać śmiejącego się — aż nareszcie prosiłem, aby psa uwiązano. Pan Simart byłby bez wątpienia przychylił się do mojego żądania, ale panna Celestyna ujęła się za swoim polubieńcem i wyrzucając mi, że go chce pozbawić wolności, obchodzi się ze mną jak z człowiekiem nie mającym serca i czucia. Smieszna ta sprzeczka trwa już przez cały tydzień, i odnawiając się codziennie, prowadzi za sobą wiele małych nieporozumień, których nadaremnie uniknąć usiłuję. Słowem, przeklęty ten Soliman jest prawdziwą zawadą w mém ożenieniu. Pozwoliłbym nareszcie niechby sobie szczekał, ale ta bestyja kąsa. Chce mię łytek pozbawić!«

»Jaki z ciebie nierozsądny,« odrzekł Dramond wzruszając ramionami. »Więc dla psa będziesz się różnił z twą narzeczoną. W takim razie najłatwiéj sobie poradzić. Pokąd się nie ożenisz, dawaj mu przysmaki i pochlébiaj Cerberusowi, a po ślubie dasz mu porządną pigułkę, która go do jego ojców poszle.«

»Już ja nawet sam o tém myślałem; zresztą z téj strony nieszczęście nie byłoby jeszcze tak bardzo wielkie; atoli najgorszą rzeczą, która we mnie największą wątpliwość i obawę wzbudza, jestto zachowanie Celestyny. Wiadomo ci, że w drobnostkach najbardziéj się charakter kobiéty okazuje. Przyznam się, iż jéj żywość, jéj duch sprzeczności, jéj drażliwość, co większa, jéj pochopność do gniewu, czego mi w tych dniach oczéwiste dała dowody, obudzają we mnie obawę o przyszłe szczęście moje. Jeżeli tak opryskliwą jest przed weselem, jakąż nie będzie po weselu?«

»Sądzisz więc, że jest złośliwą?«

»Złośliwą! bynajmniéj; ale dziwaczką, upartą i nierozsądną, jak rozpieszczone dziécię. Zobaczysz ją; osądzisz sam, ażali przesadzam, bo ona nie ukrywa bynajmniéj swoich błędów, i pewien jestem, że jeszcze przed wieczorem poda ci sposobność, abyś dał o niéj swoje zdanie. O, dobrze, dobrze robisz Franciszku, że się żenić nie myślisz, wiele sobie zmartwień oszczędzisz!«

»Co? ja miałbym się żenić?« zawoła Dramond, który w czasie téj rozmowy otworzył swój tłumoczek dla przebrania się.

»Ja miałbym się żenić? Fi! Stan małżeński jest kojną ostoją, a ja mam upodobanie w burzącem się morzu. Ty się żenisz, i dobrze czynisz; początki otyłości i łysina pokazująca się na twojéj głowie, są dowodem, że dla ciebie już wybiła przeznaczona godzina; ale co do mnie, ja jestem jeszcze w kwiecie młodości.«

»Patrzcie, co mi za piękna róża!« rzekł Tessier z szyderskim uśmiéchem.

W téj chwili Dramond właśnie był wyjął surdut z tłumoczka, a z kieszeni surduta wypadła żółta zeschła róża. Dramond, podniosłszy ją przypatrywał się jéj przez chwilę, a potém rzekł: »Nadmieniłeś o różach; ta, o któréj zupełnie już zapomniałem, zdaje się, iż umyślnie dla tego się pokazała, aby mi przypomnieć, że jeszcze niegodny jestem wstąpić w stan małżeński. Wiedz o tém, kochany mój Robercie, jakkolwiek się ja nierozsądnym tobie wydaję, jednakże bardzo rozsądne mam zasady. Ożeniwszy się, mam zamiar kochać moję małżonkę, a nawet być jéj wiernym, by ją zupełnie uszczęśliwić. Ale za nim na tak ważny krok się odważę, wprzódy chcę być pewien siebie samego; na ten koniec sądzę być rzeczą najpotrzebniejszą wychylić teraz aż do dna puhar kawalerskiego życia, aby mnie poźniéj do zkosztowania téj słodyczy ochota nie zabiérała; co większa, nie brałbym nawet tego za złe, gdybym cokolwiek cierpkiego mętu w nim znalazł, gdyż to nadałoby tém większą słodycz przyjemnościom małżeńskim.«

»Ale jakąż styczność ma ta niezrozumiała gadanina z tą brzydką, zwiędłą rożą, którą zapewne zdarłeś z kapelusza jakiéj sześćdziesięcioletnéj dewotki.«

Z tą brzydką różą?« powtórzył Franciszek, wciągając z upodobaniem w siebie jéj zapach; »róża ta miała podobnież przyjemny swój poranek, i podobnież kwitnęła, jak owe róże, o których Malherbe wspomina. Prawda, iż dzisiaj zwiędniała i straciła swoje kolory, już nie oddycha wonią, ale dla mnie wydaje zapach, który filozoficznym nazwać mogę. Ona przywołuje mi w pamięć uczucie mé

słabéj natury, z widoku jéj czerpię mądre i moralne nauki. Słowem, zgadnij, co mi ta róża przypomina?«

»Czy ty masz mnie za Persa?« odrzekł Tessier znudzony.

»Ona mi przypomina, ażebym się nie żenił!... ale tu wypadałoby ci opowiedzieć całe zdarzenie, lecz ja nie chcę odbierać tobie prawa piérwszeństwa. Ja przybyłem tu, abym był świadkiem, powiernikiem, wiernym Piladesem podczas twego wesela. A zatém ty masz prawo opowiadać, opisywać, upiękniać i na sposób zakochanych przesadzać piękność swéj narzeczonéj. Zaczynajże; uzbroiłem się cierpliwością Joba, a więc śmiało mój przyjacielu. Nie powiedziałeś mi jeszcze, azali panna Celestyna ma błękitne lub czarne oczy.«

»I owszem, opowiédz mi ty piérwéj swe przygody; może one rozpędzą smutne myśli moje. Pana Simarta nié ma jeszcze dotychczas w domu, Celestyna przechadza się z swoją kuzyną po ogrodzie; a zatém masz dosyć czasu, byś mi jeszcze przed obiadem opowiedział zdarzenie swoje.«

»Niech i tak będzie!« odrzekł Dramond, który ciągle jeszcze zrzucał z siebie podróżne suknie, a wytworniejsze przywdziewał:

»Będzie temu może ze dwa miesiące, gdy Beyraud, którego znasz, Merville, ja i kilku innych przystojnych chłopców ułożyliśmy sobie pójść na bal do domu opery dla rozrywki. Słuchajże dobrze: na bal do domu opery dla rozrywki! Kto w podobnym domu szuka rozrywki, ten jest zapewne podchmielonym. I tak było w saméj istocie; w téj mierze winienem wyznać szczérą prawdę. Lecz mówiąc, żeśmy byli podchmieleni, należy mnie rozumiéć: nie jestto pospolite, gminne, szynkowne pijaństwo, lecz on stan wesołego humoru, owo przyjemne rozegrzanie głowy, które smaczny obiad u Vérego przy szampanie *á la glace* tak dalece w młodych chłopcach powiększyć może, iż się im zbytek fizycznego i umysłowego zdrowia uczuwać daje. W tym sierdzisto-wesołym humorze, mając rozgrzane głowy, donośny głos, świécące oczy i zarumienione jagody, weszliśmy na salę. Trącając w około siebie mężczyzn prawiliśmy damom karnawałowe grzeczności; słowem, szukaliśmy, podobnie jak ów wilk w bajce, zaczepki, lecz nierównie winniejsi, bo on był trzeźwym. Wiedziéć należy, iż niektórzy z innych towarzyszy, w brew zwyczajom przyjętym w owém miejscu, pomalowali sobie wąsy korkiem spalonym, a ja i Merville, dla przesadzenia tego wytwornego pomysłu, przyprawiliśmy sobie fałszywe nosy, które zupełnie twarze nasze zmieniły. Sądzę, że nas w saméj rzeczy miano za rzemieślników; nikt bowiem nie zadawał sobie pracy, by rozpocząć z nami kłótni, i tym sposobem mogliśmy natrętnéj wesołości naszéj wolne puścić wodze. Co do mnie, wkrótce sprzykrzyła się mi ta zabawa. Wstydziłem się swojego nosa, podobnie jak ów książę w bajce, który nos swój na taczkach wozić był przymuszonym; ale ponieważ nie śmiałem go zdjąć z obawy, abym nie był poznany, opuściłem więc salę i poszedłem na kurytarz, gdzie grając rolę dostrzegacza, zaglądałem do każdego okienka loży. Z tą nieprzyzwoitą natrętnością zwidzałem jedno piętro po drugiém, aż nareszcie przyszedłem do jednéj loży w trzecim rzędzie, która zajęła moję ciekawość. Siedziało w niéj dwie dam zupełnie jednakowo w czarne domino ubranych; ile dostrzédz mogłem, obiedwie były małe i na piérwszy rzut oka tak do siebie podobne, iż dla rozróżnienia ich wypadało upatrzyć znak jaki, i który zapewne przybrały dla tajemnéj intrygi: jedna z nich miała na palcu pierścień smaragdowy, druga trzymała w ręku żółtą różę.«

»Aha! więc to jest ta sama róża? już się reszty domyślam,« rzekł Tessier.

»Przepraszam, bynajmniéj domyśléć się nie możesz. Dwie damy same jedne rzadko mogą dać o sobie wysokie mniemanie, a zwłaszcza na balu maskowym. Byłem już dość znużonym, a zatém sposobność zdawała się mi być wyśmienitą do odpoczynku; zresztą drzwi były otwarte; zdało się mi, jak gdyby na mnie zawołały: »Proszę wnijść!« Na skrzyp drzwi, który powstał, gdym je za sobą przywarł, obróciły się obie damy, a jedna z nich skrzyknęła z cicha, co ja za wezwanie wziąłem. Usiadłem sobie śmiało i zabrawszy głos, zacząłem tak przyjemnie zabawiać je karnawałowemi żartami, iż niepodobna było nie sprawić na nich pomyślnego wrażenia. Obiedwie damy z początku milczące i pozornie zmieszane, nabrały poźniéj śmiałości; szepcąc sobie przez chwilę do ucha i naśmiawszy się z moich żartów, któremi się popisywałem, zaczęły nareszcie odpowiadać na moje zapytania, i tym sposobem w krótkim czasie zaszliśmy w potoczną rozmowę. Szczególniéj dama z żółtą różą miała tak wielki w niéj udział, iż zachowanie się jéj w każdém inném miejscu, a nie na balu maskowym, byłbym gotów miéć za niewinną prostotę. Powściągliwszą w swéj mowie była druga, może dla tego, iż była nieco starszą, i od czasu do czasu szeptała piérwszéj coś do ucha; zapewne napominała ją, aby w wesołości swéj była nieco umiarkowańszą. Nakoniec obiedwie, jakby dla przerwania rozmowy, wychyliwszy się przez krawędź loży, zaczęły z niejaką niespokojnością powodzić wzrokiem po sali. Jakkolwiek trudny jest wybór między dwiema maskami, wszelako mój już był zrobiony na przypadek, gdyby wesoła osnowa téj przygody do rozwinięcia przyjść miała. Nieznajoma, która sobie wzięła za godło żółtą różę, ozioniona była tak świeżą wonią młodości, uśmiéch jéj był tak wdzięczny, niewymuszony, głos tak przyjemny i

ponętny, poruszenie tak żywe, dowcip tak naturalny, iż niepodobieństwem było, aby się mi nie podobała. Dla tego bez namyślenia się oddałem jéj na całą noc me serce i z nienawiścią poglądałem na jéj towarzyszkę, która pomimo gładkiéj swéj kibici, wydawała się mi jak poważna duenna... Być może, iż bogom podoba się liczba nierówna, ale kochankowie mają słuszność, że jéj nie cierpią. Co do mnie, ja w téj chwili byłem bardziéj zdania kochanków, niżli bogów; przeklinałem w sercu tę natrętną trzecią osobę, nie wiedząc, jak się jéj pozbyć; gdy oto potężne uderzenie pięścią, które omal drzwi u loży nie roztrzaskało, przeraziło na krzesełkach moje sąsiadki. — »Oho! Jam w doli z tobą!« ozwał się w tymże samym czasie głos, mający niejakie podobieństwo z miauczeniem kota. Obróciwszy się, ujrzałem upromienioną twarz Mervilla, przyjaciela mojego, którego ogromny przyprawiony nos omal że okienka u drzwi nie prześwidrował. — »Nie otwiéraj wćpan!« skrzyknęły razem obiedwie damy. — Byłbym usłuchał ich rozkazu, gdyby mi w téj chwili nie wpadło było na myśl, że jeden a trzy czynią cztéry, że będąc we cztéry, można być i we dwoje. Otworzyłem więc temu, o którym mniemałem, że będzie moim sprzymierzeńcem; atoli w krótkim czasie postrzegłem, żem sobie nierozsądnie postąpił. Nieszczęśliwy Merville od czasu jakem na sali go zostawił, upił się był na piękne, a to tak dalece, że całkiem nie był w stanie ani usłuchać przyjacielskiéj rady, ani wymówić rozsądnego słowa; krótko mówiąc, spił się jak Bella. Znając jego grubiański sposób postępowania w podobnych okolicznościach, przewidywałem nieprzyjemny wypadek, lecz już niepodobna było uniknąć diabła, kiedy się urodził! Nie zważając na moje skinienia, które mu dawałem dla porozumienia się, rzucił się niedbale na opróżnione krzesło, śmiał się przez czas niejaki w sposób obrażający, zagapiony, potém sapał jak miech na całe piersi, a nareszcie tak tkliwą zaczął zalecankę, że obiedwie damy natychmiast zerwały się z swoich krzeseł. — »Otwórz nam wćpan,« rzekły do mnie głosem drżącym z gniewu i bojaźni. Podniosłem się, by wypełnić ich rozkaz; nigdy bowiem nie mogłem znieść na sobie, nawet w czasie karnawału, by ubliżyć damom winnego uszanowania. — »Stój, co robisz! czyś oszalał?« zawoła Merville, winem rozgrzany; »z któregożto zakonu przychodzą te dwie księżniczki? Jeżeli są brzydkie, z panem Bogiem, szczęśliwéj podróży; ale jeżeli ładne, spodziéwam się, iż nie wzgardzą porządną wieczerzą kawalerską. Jestem jak tygrys głodny i spragniony; a zatém piękne moje aniołki pozdejmujcież maski!« Już chciał czynem wesprzéć mowę swoję; ale ja przytrzymałem go jedną ręką na krześle, a drugą otworzyłem drzwi, przez które obie damy jak wylęknione sarny wybiegły. Opój rozgniewany taką przeszkodą, podniosłszy się z wielkiém natężeniem z krzesła, wyciągnął ku uciekającym rękę: nie wiedzieć, czy przypadkiem czyli umyślnie, zawadził ręką o maskę jednéj damy, i zerwał ją z jéj twarzy. Byłato dama z żółtą różą; tém obrażona obróciła się spieszno — a ja, ujrzawszy twarz uroczemi wdzięki, świéża wiosną i gniewem promieniejąca, stanąłem jak wryty z zachwycenia; jéj oczy czarne jak jéj kapiszon, którym je skwapnie osłonić usiłowała, biły dwoma promieniami błyskawicy, które wskróś serca przechodziły. Nie długo wszakże trwało moje zachwytne osłupienie. Wydrzéć maskę z rąk Mervilla, wyciąć mu z najpowabniejszym wdziękiem tęgi policzek i w okamgnieniu wyskoczyć z loży i drzwi za sobą zatrzasnąć, to wszystko było dla rozgniewanéj piękności dziełem jednéj sekundy.

»Do tysiąc piorunów!... policzek... kochany przyjacielu, to za wiele — to pojedynek o śmierć lub życie — policzek!« wybąkał Merville, powstawszy z krzesła, i znowu się w nie rzuciwszy mimowolnie. Zamiast słuchania niedorzecznych wykrzyków mojego przyjaciela, któremu słuszne ukaranie zupełnie zmysły pomieszało, wybiegłem na kurytarz, ale piękna demaskowana dama, wraz z swoją towarzyszką zniknęły. Ta róża, którą, bieżąc po wschodach, zoczyłem i podniosłem, znowu mi jéj ślad wskazała; ale mnogość dam w jednakie domina ubranych, które przy wnijściu do sali drogę mi zastąpiły, zniweczyła wszelkie moje zabiegi. Tym sposobem, naszukawszy się przez dwie godzin nadaremnie, opuściłem balową salę, i nie troszcząc się już bynajmniéj o moich przyjaciół, wpatrzony myślą w tę pełną wdzięków twarz, którą tylko na chwilkę widziałem, powróciłem do domu, tak mocno zajęty, jak gdybyto dla mnie na maskowym balu piérwszém zdarzeniem było.

Nazajutrz po południu wchodzi Beyraud do mojego pokoju: »Jestżeś usposobiony posłuchać, co ci powiém?« rzekł bardzo poważnym głosem. — »Cóż takiego masz mi powiedzieć?« zapytałem. — »Zapomniałeś, co się wydarzyło téj nocy?« — »I owszém, właśnie o tém myślałem, gdyś wstąpił do pokoju. Milutka ta dziéwczyna ma tak przyjemne oczy, jakich w mém życiu nie widziałem!« — »Nie o tém teraz mowa,« odrzekł Beyraud, »ale o policzku, który wyciąłeś Mervillowi.« Ja się roześmiałem na całe gardło. »Nie widzę w tém żadnego śmiéchu,« rzekł Beyraud, »policzek jest policzkiem, choćby go nawet wino uniewinniało. Wiesz dobrze, iż Merville, pomimo swéj przyjaźni ku tobie, nie jest mężem, któryby puścił płazem zniewagę, jaką mu wczoraj w twojém pijaństwie wyrządziłeś. On żąda koniecznie, aby między wami pojedynek roztrzygnął, a ja tu

przyszedłem jego imieniem. Niechętnie wypełniam to zlecenie, i w każdym innym przypadku starałbym się złagodzić tę sprawę; ale sam przyznasz, iż w tym razie niepodobna załatwić jéj dobrym sposobem. Nie sądziłem, aby cię wino tak porywczym czyniło; cóżto za szaleństwo cię opanowało? Biédnemu Leonowi nabrzmiało lice.« — Ja roześmiałem się znowu, a potém opowiedziałem cały wypadek, jak się wydarzył w istocie i odkryłem błędne mniemanie naszego przyjaciela, który będąc pijany wplątał się w tę sprawę, a teraz nie może sobie przypomnieć jéj związku. Beyraud podobnie jak i ja naśmiał się do rozpuku; poczém poszliśmy razem do Merwilla, w nadziei rozweselenia i pojednania go z jego nieszczęściem. Zastaliśmy go przy kominku siedzącego w wielkiém, poręczowém krześle, z oburzeniem rozgartującego ogień, jakbyto na żarzących węglach chciał wywrzéć zemstę swoję; pokrowiec z pistoletami na stoliku, obok niego dwie szpady leżące, świadczyły o jego mściwych zamiarach, gdyby ich już dostatecznie nie był objawił wzrok dziki, którym mnie przyjął: »Dla czegożeście nie przyprowadzili z sobą jakiego świadka?« rzekł z pospiechem. Usiłowałem wyjaśnić mu całe nieporozumienie, nie chciał mnie słuchać; również Beyraud starał się wyprowadzić go z błędu, lecz i on milczéć był przymuszonym. »Wy chcecie we mnie wmówić, że się mi to wszystko śniło!« wrzasnął zacięty przeciwnik przeraźliwym głosem, jak lew ryczący. »Czy sądzicie, że jestem dzieckiem? Było dwie kobiét w loży, to prawda; jednéj zdarłem maskę, i to jest prawda; widzicie, że wszystko doskonale pamiętam; ale co policzek, ten mi wyciął Dramond i zato ze mną rozprawić się powinien, jakkolwiek chciałby teraz całą tę sprawę na małe *domino* złożyć. Takie uderzenie! Przecież ja znam, jaki policzek może wyciąć kobiéta: jéj ręka kłaśnie, ale nie zaszkodzi; — a to uderzenie omal że mnie oka nie pozbawiło. Tak silnie bije tylko mężczyzna: a że nikt nie był w loży z mężczyzn oprócz Dramonda, a zatém on mi wyciął policzek. Nie jestżeto rzecz jasna? Czy może mi powiécie, żeśmy sobie podochocili, że Dramond był napity, że jest moim przyjacielem? Tém gorzéj! Podobnéj obrazy ani przyjaźń, ani pijaństwo uniewinnić nie może. Krew powinna zmyć obelgę z méj twarzy. A zatém przestańmy mówić; oto jest broń; weźmy z sobą Beauregarda lub Percego za świadków, i pójdźmy do Boulońskiego lasku!«

Usiłując prawie przez pół godziny, ile mi wymowy starczyło, przyprowadzić zapamiętałego do rozumu, wreszcie mi już i cierpliwości nie stało: »Dobrze więc, pójdźmy do Boulońskiego lasku!« rzekłem z gniewem. »Téj nocy odebrałeś karę za swoje grubijaństwo, a ja cię teraz za twe głupstwo ukarzę. Wkładasz na mnie odpowiedzialność za policzek, który odebrałeś od damy; przyjmuję na siebie tę powinność, boś odebrał tylko zasłużoną nagrodę. Pójdźże, pójdź! zmyjemy obelgę z twojéj twarzy!« — Zabawna ta spreczka jeszcze w tym samym dniu zakończyła się pojedynkiem, którego wiadomy ci wypadek. Jeszcze po dziś dzień nosi Merville ramię swoję na pasku, i po odniesionéj ranie wytrzeźwił się zupełnie. Teraz przekonał się, że, jeżeli pchnięcie szpadą, do którego mnie zmusił, było mezkie, więc z porównania przeświadczył się, iż policzek, który otrzymał, był niezawodnie kobiécy. Tym sposobem zostaliśmy znowu przyjaciołmi; ale Merville zarzekł się już chodzić ze mną na bal maskowy.«

»A oważ dama z żółtą różą?« zapytał Tessier, przymuszając się do słuchania powieści swojego przyjaciela dla rozerwania swoich myśli.

»Niestety! nie widziałem już téj lubéj dziewczyny!« odrzekł opowiadający. »Chociażem przez całe trzy tygodnie chodził nieustannie po wszystkich publicznych miejscach.«

»Więc się w niéj zakochałeś?«

»Zakochałem?... Tak bardzo, ile zakochać się można w pięknéj osobie, z którą przez chwilę na maskowym balu się poznajemy.«

»I nie wiesz, co jest za jedna?«

»Sądziłbym, że jest tancerką lub aktorką, gdyby nadzwyczajna młodość i świéżość kolorów na jéj twarzy nie zbijały tego domysłu. Jestem pewny, iż nigdy rumienidło nie skalało téj róży.«

»Więc ona jest aniołem,« rzecze Robert z przekąsem.

»Nie ze wszystkiém jak się zdaje. Dwie damy same jedne na bal idące, już tém samém w sprawiedliwém zostają podejrzeniu. Obawiam się, aby ten anioł w rzeczywistości nie był jedną z owych przyjemnych istot, które nie mając nic więcéj jak tylko swoje wdzięki w posagu, utrzymują się z procentów tego kapitału. Zaiste wielka byłaby szkoda, aby taka świéża piękność w tym zostawała przypadku. Ale Paryż jestto ślizki gościniec do niebezpiecznéj przepaści! Jednakże, bądź ona jest mężatką, co ukradkiem z domu wycieka, bądź modną damą, która swojego dobroczyńcę oszukuje, zawsze to wyznać muszę, że powabniejszéj istoty wyobrazić sobie nie można. Dotąd mi tkwi w pamięci wyraz jéj twarzy, kiedy się zdemaskowaną ujrzała. Szkoda, że malować nie umiem. Wystaw sobie ujmujący ideał włoskiéj piękności, cokolwiek gniewem zrumieniony, a jasny i błogi jak twarz anioła w łunie słodko-promiennego blasku; długie, krucze włosy, wysokie, dziewicze czoło, koralowe, dziecięce usta, w nich dwa rzędy żyjących pereł, na licu kwiaty wiosny, a w oku lwa spojrzenie!«

»Mimo wiedzy,« ozwał się Tessier, »odmalowałeś portret Celestyny. Ona także ma czasem lwa spojrzenie, a wtedy przymuszony jestem chodzić cicho na palcach.«

»W takim przypadku życzę ci szczęścia, bo twoja narzeczona jest bardzo piękna; jednakże spodziewam się, dla twego dobra, iż jéj podobieństwo do mojéj nieznajoméj ogranicza się i różni się w sile fizycznéj.«

»Może ty krzywdzisz twoję nieznajomę, nie mogłażby ona przy tém wszystkiém być istotnie cnotliwą? Sposób, jak się obeszła z Mervillem, zdaje się być tego dowodem.«

»Jakżeś bardzo łatwowierny!« odrzekł śmiejąc się Franciszek, »alboż wyciąć komu policzek jest dowodem cnoty?«

Głos dzwonu, oznajmujący czas obiadu, przerwał rozmowę dwóch przyjaciół; gdyż u pana Simarta o godzinie piérwszéj dawano do stołu; poszli więc obadwaj na dół do sali jadalnej, gdzie Tessier przedstawił gospodarzowi swojego przyjaciela, jako świadka nastąpić mającego wesela. Przyszły teść Roberta byłto otyły, nizkiego wzrostu mężczyzna, pełen dobrotliwéj powierzchowności, którego rumiana twarz i czérstwe zdrowie zapowiadały, że był wielkim czcicielem kielicha. Przywitał swoich gości w prostym ubiorze ziemianina, który już

dawno pożegnał się z etykietą Paryża. Surdut koloru płowego z materyi trudnéj do rozeznania, był najcelniéjszém jego ubraniem, które uzupełniały spodnie nankinowe i wiejska gamerka, mająca kształt strasburskiego pasztetu. Pan Simart, bywszy wprzódy kupcem, od kilku lat usunął się od kupieckiego zatrudnienia i posiadał wszystkie cnoty jak i przywary téj zacnéj klasy ludu, wyjąwszy tylko to jedno, iż nie był chciwym pieniędzy, i że zwykle kładł się wcześnie spać i wstawał tak późno z łóżka, jak król z Ivetot, co także nie jest kupców zwyczajem. Co się dotyczé gospodarstwa, pan Simart, jako najlepszy człowiek w świecie, przepędził kilka lat pod berłem swojéj żony; od czasu zaś owdowienia jego wodze domowego zarządu przeszły w ręce Celestyny, a dobroduszny ojciec był najpowolniejszym jéj niewolnikiem, wyjąwszy niektóre wykroczenia przeciw subordynacyi, których czasami się dopuszczał, a które się zwykle na tem kończyły, iż jeszcze tem bardziéj poddawał się wymysłom młodéj dziewczyny.

»Jakże ci się mój teść podoba?« zapytał Tessier swojego przyjaciela, podczas gdy pan Simart rozmawiał z innym gościem, człowiekiem mającym niemal 40 lat, chudym, wysokiego wzrostu, a na głowie prawie łysym.

»Widzę, iż porządnie jest wypasionym,« odrzekł Dramond w swoim zwykłym, ulubionym sposobie; »poszedłbym o zakład, iż się na rozum nie sadzi.«

»Ani się stara o tę fraszkę.«

»Lepszego teścia życzéć sobie nie można.«

W téj chwili otworzyły się podwoje, a trzy damy weszli do sali. Nieznajomy pomknął okiem po pierwszéj, która dosyć była podeszłą, zatrzymał je przez chwilę na drugiéj, ładnéj blondynce, mającéj lat dwadzieścia i pięć — lecz zaraz po niéj utkwił cały wzrok swój w trzeciéj postaci, która, choćbyś nawet nie poznał w niéj oblubienicy, godna była téj wyłącznéj uwagi. Byłato gładka, młoda, świeża, wesoła dziewczyna, mająca jeszcze tak dziecinną minę, iżby ją ktoś o jéj lalkę mógł zapytać bezpiecznie. Jéj regularna i przyjemna twarzyczka jednoczyła w sobie z czystością rzymskiego rysu taki wdzięczny wyraz kokieteryi, jaki zwykle na popiersiach Pradiera widzimy. Piękność jéj ócz, jeźli tak rzéć można, była podwójną: w dużych, czarnych źrenicach zdawała się nieustanna spoczywać burza, z któréj czasem strzeliła błyskawica, chociażto bynajmniéj nie ćmiło przeźroczystych, błękitnych, dziecięco-jasnych gwiazd jéj oczu. Żywy ten ogień namiętnego ducha, obwiedziony promienną łuną niewinności, nadawał spojrzeniu Celestyny tyle uroczego wyrazu, iż mu mało mężczyzn oprzéć się zdoła. Miała na sobie piękną, różowego koloru suknię, w któréj zdawał się odbijać kwitnący na jéj twarzy rumieniec; żywa, zwinna i we wszystkich swych poruszeniach powabna, jakiemi zwykle bywają małego wzrostu kobiety; wszedłszy mknęła tak lekko po taflowéj podłodze, jakbyto galopa tańczyła; pozdrowiwszy mężczyzn lekkiém skinieniem głowy, nie spojrzawszy ani na oblubieńca, ani na nieznajomego, który jéj dość się nizko ukłonił, usiadła sobie przy stole z taką naturalną powagą, jakbyto już matroną była. Zciągnąwszy rękawiczkę, łysnęła białą, ale silną rączką; jedną zjęła nakrywę z wazy, z któréj buchnął zapach najprzyjemniejszy, a drugą zadzwoniła mocno w srebrny dzwonek, którego głos usłyszawszy pan Mikołaj, odźwierny pełniący wielo-liczne posługi w domu pana Simarta, stanął zaraz przy drzwiach u sali. Wszyscy już goście zasiedli do stołu; tylko sam Dramond stał jeszcze jak słup nieporuszony z wlepionym wzrokiem.

»Chciéj pan usiąść przy mojéj córce,« rzekł do niego gospodarz powtórnie.

Młody mężczyzna zamiast odpowiedzi skłonił się machinalnie, ale nie ruszył się z miejsca.

»Chociaż pan już jadłeś obiad,« zabrał znowu głos dawny kupiec, który był nieco głuchy na jedno ucho, i nalegał na niego z uprzejmą gościnnością; »na wsi można bez obawy obiad powtórzyć.«

Frańciszek uśmiechnął się roztargniony, jak gdyby zgadzając się z tém zdaniem, jednakże nie odrzekł ani słowa, ani się też z miejsca nie ruszył. Wszyscy, jak byli, zwrócili na niego oczy, a Celestyna, rozdawająca zupę, zatrzymała się na chwilę dla przypatrzenia się młodemu mężczyźnie, który jéj widokiem tak był skamieniały. Atoli twarz panny Simart nie wyrażała nic innego, jak tylko ową cokolwiek ironiczną ciekawość, która młodym dziewczętom jest właściwą.

»Zapewne ten pan nie chce, abym była jego sąsiadką,« rzekła po cichu, nachyliwszy się przez stół ku młodéj damie, która naprzeciw niéj siedziała.

»Cóż ci to, Frańciszku?« zapytał także Robert Tessier, przypisując to osobliwsze zachowanie się swojego przyjaciela nagłéj słabości.

»Proszę tysiąckrotnie o przebaczenie!« rzekł nareszcie gość zadumany, ocknąwszy się ze swego zapamiętania; »umysł mój owłada czasem tak śmieszne roztargnienie.«

»Zapewne przypomnienia słodkiéj przeszłości,« rzekła do niego piękna blondynka, mająca lat dwadzieścia i pięć, a rzekła z ową litosną ironiją, jaką zwykle wzbudza w kobietach widok pięknego, młodego zapaleńca.

Dramond usiadł nareszcie, i zwrócił oczy swoje na tę przyjemną szyderczynię, która właśnie w téj chwili do ust przytknęła szklankę. Podnosząc rękę łysnęła smaragdowym pierścieniem, który miała na palcu. Nowy gość, ujrzawszy pierścień, zerwał się tak nie oględnie z krzesła, iż przechyliwszy talerz, wylał na stół niejaką część swojéj zupy. Celestyna, bojąc się, aby nie była zlaną, odsunęła się czém prędzéj od swego sąsiada i spojrzała z obawą po swojéj sukni, ale widząc, że żadnéj szkody nie poniosła, parsknęła na głos z śmiechu, którego stłumić w żaden sposób nie mogła. Ostrym i badawczym wzrokiem wpatrzył się Frańciszek w swoję sąsiadkę, a potem zwróciwszy się ku blondynce, przeszywał ją swém czarném okiem, jak gdyby chciał na niéj doświadczyć skutku magnetyzmu, poczém rzekł dobitnie: »Przypomnienia? Łaskawa pani, to wszystko być może!«

Młoda dama zdziwiła się tą mową, zdało się jej, jak gdyby Frańciszek do niéj po grecku lub po arabsku przemówił: »Nie rozumiem wćpana,« rzekła nareszcie uśmiechnąwszy się i nie okazując żadnego pomieszania.

»A pani także mnie nie rozumiesz?« tonem dobitnym rzekł nowy gość, zwracając swą mowę do młodéj swéj sąsiadki. Celestyna wlepiła w niego swe jasne, duże oko z jego promienną okazałością.

»Jeżeli to jest szarada, zapytaj pan mego tatka, ten ją prędzéj niż ja odgadnie,« odrzekła przekonana wewnętrznie, że zaproszony drużba nie zupełnie jest przy wszystkich zmysłach.

»Szaradę! O zadaj nam pan szaradę!« zawołał pan Simart i zaczął strzédz uchem, jak ów koń bojowy, gdy huk bębna usłyszy.

»Po obiedzie, jeźli pan pozwolisz,« odrzekł Dramond z wyrazem ironii, która osiadła na jego twarzy.

Ręczę słowem honoru, że oszalał! — pomyślił sobie Tessier, nachyliwszy twarz nad talerz, i wstydząc się tak dziwnego zachowania się swego przyjaciela, zaczął go deptać z lekka po pod stół nogą, w znak napomnienia, aby się przyzwoiciéj zachował.

Frańciszek usunął od napaśnika nogę i uśmiechnął się z obojętnością; »O nierozsądny!« rzekł sobie po cichu, »Trącasz mię! ty odtrącasz od siebie swego anioła stróża! Ony mię nie poznają, ale ja ich poznałem, i tą razą, ja z nich zedrę maskę. Jakże błogosławię mojemu przyrobionemu, papierowemu nosowi, który mię niegdyś

stroił na balu; oto jak ów talizman czarodziejski daje mi teraz w moję władzę te dwie obłudne syreny! — Teraz będziemy jedli obiad, ale na wety wyprawię im scenę, która dramatyczniejsza będzie niż szarada; nie mogę bowiem czystém sumieniem dopuścić, aby Robert zaślobił dziewczynę, która w domu opery po balach się wałęsa.« (Ciąg dalszy nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

Doniesienie w Rozmaitościach Nr. 23. na str. 183 o wyjść mającem dziele: *Muzyka do sześciu lirycznych poezyj Królodworskiego rękopisu*, prostujemy w ten sposób: iż na toż dzieło nie przyjmuje u nas przedpłaty nikt inny, prócz samej tylko księgarni Jana Milikowskiego.

Z Wilna. *(Wyimek z listu o pogrzebowym obrzędzie po Jędrzeju Śniadeckim.)* Jędrzej Śniadecki, rozstał się z tym światem w piątek dnia 29. kwietnia b. r., jak prawdziwy filozof i nieodrodny chrześcianin-katolik. We wtorek dnia 3. maja przeniesione zostały zwłoki do kościoła akademickiego Ś. Jana. Sufragan trocki, nominat biskup j. ks. Cywiński, na czele świeckiego kleru z akademii duchownej i seminaryjum dyjecezalnego, oraz wszystkich zgromadzeń zakonnych, religijną w tym dniu oddawał posługę. Ciało nieśli adjunkci cesarskiej medyko-chirurgicznej akademii; profesorowie i uczniowie tejże akademii, krewni zmarłego, tudzież kilkanaście tysięcy z całego miasta zebranego i przybyłego z prowincyi ludu, temu smutnemu dla Litwy towarzyszyło obrzędowi. Nazajutrz rozpoczęło się nabożeństwo żałobne mszą wielką, którą obrzędem pasterskim celebrował rządzący dyjecezyją wileńską j. ks. biskup Kłągiewicz. Po mszy ś. zaś kanonik i kaznodzieja wileński, znany z swej cudownej wymowy, j. ks. Ludwik Trynkowski, miał kazanie z tych słów textu pisma ś. »*Oto człowiek!*« Temi samemi prawie słowami podziwu i narodowej dumy mówiliśmy jeden drugiemu za każdém ujrzeniem Śniadeckiego, kiedy okryty chwałą Europy, towarzyszony wszędzie wdzięcznością i uwielbieniem rodaków, ozdobiony srebrzystemi włosy — koroną niepokalanej, cnotliwej starości — po ulicach starożytnej litewskiej stolicy się przechadzał. Jeden z najobszerniejszych w Wilnie kościołów, ani trzeciej części słuchaczów objąć nie mógł. Po odbytém nabożeństwie ciało zmarłego nieśli uczniowie z kościoła, przez całe miasto za rogatki Ostrobramskie. Lud równie tłumnie jak i dnia poprzedzającego, o wiorst kilka za miasto zwłokom towarzyszył. Śniadecki we własnych swych dobrach obrał dla siebie grób i tam spoczywa. Na miejscu zaś gdzie ciało na wóz zostało przyjęte, uczniowie własnemi rękami usypali pomnik, usłali go darniną i kwieciem, i górę, na której się wznosi, na pamiątkę swojego zmarłego profesora nazwali *Jędrzejówką*. Dawno, bardzo dawno, nasze miasto tak spaniałego, i razem tak smutnego nie było świadkiem obrzędu! Dawno byliśmy tak mocno i tak wielką dotknięci stratą! (T. P.)

Nowe dzieło o taktyce. Pułkownik Mitchel, znany z opisania dziejów Wallensztajna, wydał nie dawno dzieło o taktyce, owoc pracowitego zgłębiania starożytnych i nowoczesnych dziejów wojennych. Podaje on w niém wykaz obecnego stanu taktyki, i zbija zdanie, które w Anglii przyjęto za zasadę: iż piechota, uzbrojona bagnetami, ustawiona w czworobok jest niepokonaną. Wszystkie wielkie przez Anglików wygrane bitwy, zacząwszy od Talawary aż do Waterloo, które wiodły do zwycięztwa podług nadmienionej zasady, nie mają żadnej w jego oczach wartości. Sądzi on, iż bagnet jest najgorszą bronią, jaką dano do rąk żołnierza; jazda, uzbrojona szablami, lub piechota opatrzona tąż samą bronią, może, podług jego zdania, pojść w zawody z wszelkiemi bagnetami, byle tylko śmiało przypuścić atak, ale zwykle przypuszcza się atak lękliwie w niejakiém oddaleniu od nieprzyjacielskiego czworoboku.

Dobroczynność małym kosztem. Przeszłej zimy w Paryżu dwaj ubodzy i zgłodniali chłopcy z Sabaudyi, prosili dwóch młodych panów o jałmużnę, lecz ci mieli sami pustki w kieszeni. Jednak jeden z nich był bogaty w dobre pomysły. Przechodząc właśnie po przed sklep pasztetnika, staje przed nim, wpatruje się w napis i numer, i wyjąwszy pugilares, czyni jakby w nim przeglądał. Nakoniec wprowadziwszy chłopców do sklepu każe im dać co jest najlepszego. Gdy już chłopcy do sytu się najedli, młody ten człowiek, zbliżywszy się do właścicielki sklepu, mówi jej do ucha: »Pani masz nieprzyjaciół! zdaje się, iż chcą ją zgubić. Jestem tu od urzędu przysłany; utrzymują, iż wćpani ciasta są nieostrożnie sporządzone, i mają się ze szkodliwych składać ingredyjencyj; ba co więcej, już wielom mocno zaszkodziły. Urząd chciał się o tém przekonać, a ja wziąłem tych dwóch chłopców z sobą dla uczynienia na nich próby, która choć może będzie okropną, jednakże jest potrzebną. Wszelako nie byłbym w ten sposób sobie postąpił, gdybym nie był przekonanym, że to jest tylko potwarz na wćpanią rzucona.« Przestraszona kobieta nie mogła znaleźć słów na podziękowanie, a potém rzekła: »Ach, te biedne chłopcy za wiele jedli, a nic nie pili. Toby im zaszkodzić mogło, a wtedy padłaby wina na moje pieczywo.« Dała więc chłopcom po szklance Madery i nie chciała przyjąć na żaden sposób zapłaty, którą jéj młody mężczyzna na pozór dawał, i owszém, oświadczyła, iż mu niezmiernie jest obowiązaną, i prosiła go na zawsze o względy dla swojego domu!

Model. Przed trybunał w Paryżu wytoczył się wypadek następujący: Pewien malarz, pracując nad obrazem, który przedstawiać miał tragiczny skon Milosa z Krotony, spotkał na ulicy jednego górala atletycznéj budowy ciała. Przypatrzywszy się dokładnie kolosalnemu jego wzrostowi i silnym muskułom, zaproponował, czyby nie chciał mu za model służyć. Góral przychylił się chętnie do jego życzenia, zwłaszcza, iż przyrzeczona nagroda ponętną była. Zresztą chodziło tu jedynie o to, aby przez niejaki czas stał nago, mając obie ręce żelaznym pierścieniem ujęte, i aby w ten sposób, ile możności, malarz miał wyobrażenie postawy Milosa, uwiązanego do pnia, gdy go dzikie zwierzęta rozszarpać miały. Gdy góral w przynależnéj stanął postawie, rzekł do niego artysta: »Wyobraź sobie, iż téj chwili rzuca się na ciebie lew zgłodniały, który rozedrzeć cię zamyśla, i starając się przed nim umknąć, udawaj wszelkie poruszenia, jakie w podobnym przypadku czynić byłbyś przymuszony. Góral udawał jak mógł, ale malarz nie przestawał na jego zimnych i nienaturalnych poruszeniach; a wszelkie dane rady były bezskuteczne. Malarz wziął się na inny sposób. Wybiegł na dziedziniec i spuściwszy z łańcucha ogromnego brytana, poszczuł nim uwiązanego górala, przezco usiłowanie modelu, broniącego się od napaści rozsrożonego zwierzęcia, stało się do podziwienia pięknem i naturalném dla malarza. Zachwycony artysta, przybiegłszy do obrazu, chwyta pędzel i palety, i podczas gdy skąsany i pokaleczony wydaje krzyk okropny, woła na niego: »Wyśmienicie! przecudnie! tylko tak dalej, właśnie mi tego potrzeba!« Wzorowanie to trwało całą godzinę. Skaleczony model domaga się znacznego wynagrodzenia.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*